



Autobiografia Literatura Kultura Media
nr 1 (24) 2025 | s. 191–195
ISSN (print) 2353-8694
ISSN (online) 2719-4361
DOI: 10.18276/au.2025.1.24-14



NEKROLOG

Zbigniew Jarzębowski (1962–2025)

W dżdżyste południe 29 sierpnia odprowadziliśmy Zbyszka w ostatnią drogę. W dawnych czasach nasi przodkowie mieli zwyczaj ustawiać się w koło, aby żywym słowem żegnać swoich zmarłych. Koło wyznaczało granice wspólnoty i braterstwa. Także i dzisiaj, gdy kondukt dochodzi do grobu, żałobnicy, nie myśląc przecież o historii, gromadzą się zazwyczaj w ten sposób. Ale przemówienia nie było w to chmurne, mokre południe.

Skuleni pod parasolami, rozchodziliśmy się z poczuciem, że zabrakło czegoś ważnego; ważniejszego niż wymóg sprostania kłopotliwemu niekiedy obyczajowi. Zarazem jednak, myślę, z przeświadczeniem, że o Zbyszku mamy do powiedzenia sporo ponad to, co wytrzymałaby miara pospiesznej ceremonii. Były wśród nas koleżanki Zbyszka z czasów studiów, a także jego nauczyciele. Należał do pierwszego rocznika jaki przyszło nauczać Barbarze Zielińskiej, Katarzynie Krasoń, Janowi Gajewskiemu, mnie. Jak wszyscy ci studenci, był niewiele młodszy od nas, właściwie to samo pokolenie. A zarazem 42 lata znajomości i współpracy, od chwili, gdy Profesor Erazm Kuźma zaproponował mu asystenturę. W tych latach dochodzili (i odchodzili) inni. Dlatego teraz, w kręgu akademickiego koleżeństwa, słychać już głosy kilku generacji: nauczycieli, koleżanek z ławy studenckiej, koleżanek i kolegów z zespołu, a także tych, których on uczył lub mógł uczyć.

Wypowiedzi te układają się w harmonijny portret. Zapamiętany został jako student, badacz i lubiany wykładowca o poważnym podejściu do obowiązków. Na konwersatorium z wersyfikacji – wspomina Jan Gajewski, który zajęcia te prowadził – błysnął interpretacją wiersza Iwaszkiewicza *Ogrodniczki* (jeszcze do niego wrócimy). Ze mną miał, zdaje się, literaturę staropolską. Widzę go jako zawsze przygotowanego, subtelnie w sposobie bycia studenta – był jednym z najlepszych na swoim roku. Gdy zajął już miejsce po drugiej stronie katedry, zajęcia i egzamin umiał wykorzystać do wdrażania zasad o doniosłości

wykraczającej poza doraźny cel dydaktyczny. Paweł Wolski, który jako stażysta asystował przy egzaminie, wyraźnie zapamiętał, jak Zbyszek, pukając delikatnie palcem w tekst, naprowadza studenta: „wszystko tu jest”. Paweł uznał to za „lekcję” także dla siebie „zawsze zaczynać od tekstu – bo tam jest wszystko”. Ta filologiczna dyspozycja do skupionego czytania sprzyjała nie tylko profesjonalnym aktywnościom, co miało się okazać po latach. Dyskrecja Zbyszka raczej wykluczała rozmowy o upodobaniach światopoglądowych. Dlatego mało kto wiedział – dzisiaj mówi o tym Ewa Tierling-Śledź – że przez długi czas udzielał się w grupie dyskusyjnej św. Alfonsa Liguoriego, studiującej naukę społeczną Kościoła – specjalizował się w komentowaniu encyklik papieskich.

Badawczo Zbyszek był natomiast ekspertem od dramatu. Rozprawę doktorską stanowiła monografia dramaturgii Ireneusza Iredeńskiego – wyszła drukiem w 2002 roku. Potem przeszedł czas na słuchowiska radiowe, którym poświęcił kolejną książkę, skupioną na realizacjach szczecińskich. Praca ta, wydana w 2009 roku, rezultat wytrwałych kwerend archiwalnych, jest niezastąpiona jako źródło wiedzy na temat tego wątku kulturalnej historii miasta. Również dlatego, że autor pracował z materiałem nietrwałym. „Zbyszek wiedział” – mówi Jerzy Madejski – „że taśmy są w fatalnym stanie technicznym. I być może jest ostatnią osobą, która mogła zapoznać się ze starymi zapisami dźwięku. Ponadto widzimy tu zamierzenie badawcze. Należy rozbudować język naukowy, którym będzie można rozprawiać o głosie, o wypowiedzi radiowej, o profilu fonicznym osoby. A warto dodać, że teoria literatury głównego nurtu zainteresowała się u nas poetyką wypowiedzi dość późno”. Dodam do tego, że Zbyszek uzupełnił swoje kompetencje o znajomość literatury i języka rosyjskiego, ukończył bowiem filologię rosyjską jako drugi kierunek. Znał też dobrze francuski.

Jerzy podkreśla jego niezawodne przygotowanie do zespołowych spotkań naukowych i głosu w dyskusji, a także to, że chętnie przyjmował zaproszenia na konferencje i do różnych środowiskowych inicjatyw. I potrafił zrobić wrażenie – Kasia Krasoń przypomina dzisiaj referat Zbyszka na sympozjum polsko-niemieckim i żywą reakcję współuczestników. Innych słuchał z uwagą, budzącą szacunek. Tak zapamiętała udział w naszych zebraniach Agata Zawiszewska-Semeniuk, początkująca wówczas badaczka. Gdy sam mówił, zawsze wypowiadał się zwięźle: „słuchając go, miałam wrażenie autentyczności, że mówi po prostu to, co wie i do czego jest przekonany, nic więcej” – dopowiada Agata. Zresztą ta postawa *non plus ultra*, czyli zdolność do trzymania wypowiedzi w ryzach, cechowała go także w kontaktach prywatnych. Oto Kasia i jej dziesięcioletnia wówczas córka Hania zajmują miejsca w restauracji. A niedaleko Zbyszek w towarzystwie: „Kiedy nas dostrzegł, wstał i podszedł do naszego stolika przywitać się. Zamienił z nami kilka słów, zachwycił się moją córką, co ucieszyło jej mamę i wrócił na miejsce. Moja córka skwitowała jego zachowanie tymi słowami: «wie, jak zacząć, co powiedzieć i kiedy skończyć»”.

„Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą”. Zbyszek był dżentelmenem w najlepszym tego słowa znaczeniu, czyli kimś, kto nie uchybiając własnej integralności sprawia, że wszyscy czują się w jego towarzystwie komfortowo. Andrzej Skrendo przez parę lat dzielił z nim mały pokój, zimą mroczny i często chłodny. Poniedziałkowe poranki Zbyszek zwykł łagodzić propozycją herbaty: „Elegancki, ale zarazem skromny. Serdeczny, ale zarazem nieco zdystansowany. Nigdy nie naruszał granic drugiej osoby. Nie przenosił na innych swoich humorów. Nie ulegał emocjom i nie lubił, gdy inni im ulegają. Tego się od niego nauczyłem, a to nie jest proste: nieobciążania innych ludzi swoimi nastrojami i pomagania w znoszeniu trudniejszych dni. Bo dobre słowo często niewiele nas kosztuje, a dla innych może sporo znaczyć”. Marta i Marek Skwarowie: „Zawsze go tak pamiętamy, jednego z tych Kolegów, z którymi nie sposób było się pokłócić o cokolwiek, a z którym spotkanie było zawsze miłą pauzą w codzienności”.

Znamienne, że Zbyszek umiał łączyć niemanifestacyjną rezerwę z ciepłem nie tylko spojrzenia, ale i dotyku. Inga Iwasiów: „Będąc ze Zbyszkiem, miało się natychmiast odczucie koleżeńskiej więzi. Budowały tę więź jego uśmiech, ciepło, kultura. Przytrzymanie dłoni. Serdeczność”; Ola Krukowska: „Miał ciemne oczy, ale jasne spojrzenie. Podczas każdego naszego spotkania obdarzał mnie nim szczerze, choćby przez oka mgnienie. W tym spojrzeniu był błysk serdecznego zaangażowania, jakiś chłopięcy chochlik zaciekawienia i poszanowania równocześnie. Czasem, w charakterystyczny sposób, chwycił mnie pod ramię. Kto dziś jeszcze tak robi?”.

Istotnym rysem w tym sposobie bycia była gracia Zbyszkowej polszczyzny, wzorcowej nawet w tak wymagającym środowisku, jak polonistyczne. Ale zarazem i tutaj Zbyszek nie był sztywniakiem, umiał pogodzić wykwint z naturalnym ciepłem. Ewa Kołodziejek: „Lubiłam jego afirmację życia, łagodność i elegancję. Także elegancję słowa”; „Często pozdrawialiśmy się ze swoich okien przez szerokość ulicy, serdecznie, sympatycznie... Tę naszą niezwykłą ścieżkę znajomości upamiętnia dedykacja, jaką mi Zbyszek wpisał w książce o słuchowiskach szczecińskiego radia: «Droga Ewuniu, zechciej przyjąć tę książkę z wyrazami sympatii i sąsiedzko-okiennej bliskości»”.

Wytworność w mowie i piśmie spotykała się z wymuskanyym strojem, szarmanckimi manierami, niekiedy – wspominają Inga i Marta – przybranyymi melancholijnym uśmiechem. Zbyszek, jak go zapamiętał Piotr Krupiński, to był taki środowiskowy *arbiter elegantiarum*. Ten sam rys przywołuje Jerzy: „w wielu sprawach obyczaju akademickiego i kodeksu honorowego był naszym ekspertem. Znał też trudne regulacje precedencji administracyjnej, biznesowej i dyplomatycznej”. Ale ten szyk to coś więcej – Zbyszek zbudował na nim rolę charakterystyczną, jaką odgrywał w naszym akademickim teatryku. Już interpretowane w studenckiej ławie *Ogrodniczki* przywarły do niego jak identyfikator.

„Później” – opowiada Jan – „gdy spotykałem się ze Zbyszkiem w Instytucie Filologii Polskiej, nie mogłem uwolnić się od obrazu z *Ogrodniczek*: «Paniczyki (och, okrzyki!), cynie, fuksje i gwoździki...». Prawdopodobnie dlatego – dzisiaj chyba już wiem – że charakteryzowały go delikatność, estetyzm, specyficzny arystokratyzm, niewspółczesna rokokowość”. Otóż właśnie – estetyzm to podejście do życia. Jest w nim postawa degustatora, jak celnie nazywa Zbyszka Paweł, jest i gest sprzeciwu wobec bylejakości, tandety i szarzyzny: „W monochromatycznym świecie lat osiemdziesiątych XX wieku, Zbyszek był dandysem” – przypomina Jerzy, wskazując, że dandyzm był więc tu nie tylko wyrazem zamiłowań do wysokiej jakości, ale i ekspresją indywidualizmu. Wszystko to świetnie ilustruje przypominana przezeń anegdota: „Pamiętam wspólny konferencyjny wyjazd do pomorskiego miasta. Zbyszek zniesmaczony oferowanym noclegiem, zamówił na koszt własny miejsce w dobrym hotelu”. Tak, to była „sprawa smaku”, by zacytować klasyka. I pewnie kwestia jakiegoś wysiłku. Z całą dbałością o gust, detal, poziom rzeczy, jakimi się otaczał, Zbyszek nie należał raczej do tych, którzy „musieli wszystko sami odziedziczyć”. W każdym razie, jak wielu z nas, podejmował dodatkowe zajęcia dydaktyczne w jednostkach zamiejscowych. A skoro mowa o podróżach – lubił samochody (Inga wspólnie z nim robiła kurs na prawo jazdy) i lubił o nich pogadać. Pamiętam przejażdżkę komfortowym Renault 25 (jeśli się nie mylę), akurat prowadzonym przez kierowcę, z którego usług korzystał, gdy sam nie mógł, z różnych powodów, prowadzić – a wracaliśmy wówczas z jakiegoś spotkania towarzyskiego. No i został nam w służbowym pokoju model auta, który przed laty postawił na półce. Gawędziło się też ze Zbyszkiem o zegarkach mechanicznych, cenił je. Starannie dobierał znamiona męskiej galanterii. Takie, które dla innych byłyby ryzykowne – sygnet, bransoleta – na nim leżały dobrze. No i świetnie tańczył, co zapamiętała Inga z sylwestrowej prywatki.

Ta środowiskowa rola kreowała anegdoty, ale też lgnęły do niej przydomki – skojarzone z baletem, powieściami Tolkiena i Dumasa. Ten ostatni doskonale pamiętam, był w obiegu, ale posłuchajmy Ewy Tierling-Śledź: „Przystojny szatyn (brunet?), z wąsikiem i niewielką kreską ciemnej brody, do tego wszystkiego o nienaganych manierach. Brakowało wręcz tylko szerokiego koronkowego kołnierza i kapelusza z piórem. Rzecz miała miejsce po wykładzie z literatury powszechnej. Nasz ulubiony wykładowca, profesor Krzysztof Cieślik patrząc na Zbyszka, powiedział: Pan mi kogoś przypomina. Pan mi przypomina.... O, już wiem D’Artagnana! Parsknęliśmy śmiechem. Skonsternowany Profesor, nie wiedział, dlaczego się śmiejemy. Wyjaśniłam: Bo my go tak nazywamy, Panie Profesorze”.

A jednak – gdyby kto chciał te atrybuty i określenia zbyt łatwo uogólnić w kierunku kruchej delikatności, niech wie, że Zbyszka doceniła armia. Jak paru z nas, odbył po studiach roczną służbę (chyba widziałem go wówczas w mundurze i miałem wrażenie, że był szyty na miarę), a później nie unikał ćwiczeń i dosłużył się – co najmniej – stopnia kapitana.

Zawsze wyprostowany jak struna, w oczach Piotra Krupińskiego, jak powiada, sprawiał wrażenie modelowego oficera. Otóż jeśli od tej strony spojrzeć na Zbyszka, to można rozpoznać wspólny (choć nie od razu oczywisty) mianownik dla baletu, galanteryjnej szermierki z epoki *ancien régime*, postawy oficerskiej: jest nim równowaga, samodyscyplina, panowanie nad sobą, wewnętrzna zgoda na znaczenie hierarchii, konwencji i samodoskonalenia.

W kwestiach zasadniczych był stanowczy. Mówi Ola: „Wydawał się bezkompromisowy w sprawach etycznych. Często, niczym czuła busola, rezonował nastroje naszej instytucyjnej społeczności. Miał ucho do takich dźwięków. I nie przechodził obojętnie. Łowił je, nazywał i wprowadzał w społeczny obieg już zdefiniowane, a wówczas nie można było udawać, że nie istnieją”. Z tym że te definicje były powściągliwe. W osobistym słowniku Zbyszka „niestosowne, nieeleganckie” to już poważny zarzut, a fraza „tak się z ludźmi nie postępuje” – wyraz rozgoryczenia. Reprezentował wielkopańską bez cienia wyniosłości, co zjednywało mu sympatię na wszystkich szczeblach uczelnianej drabiny.

Dlatego coś jeszcze powinno być zapamiętane. Zbyszek przyjmował administracyjne ciężary i w pracy na rzecz macierzystej jednostki położył znaczne zasługi. Organizował kierunek dziennikarstwo w filii gorzowskiej, podjął się też pracochłonnej roli wicedyrektora Instytutu, mając na głowie terminy awansowe, które niejednej, niejednemu z nas zdarzało się przekraczać. I właśnie w trakcie wicedyrektorskiej służby władze uczelni, pomimo wysiłków środowiska, postanowiły nie przedłużać mu zatrudnienia z powodów formalnych, chociaż Uniwersytet umie być w takich sprawach elastyczny. „Darku, ja sobie poradzę” – powiedział Zbyszek – „ale tak się nie postępuje”.

* * *

Dawna sztuka pamięci zalecała opracowanie i pamięciowe utrwalenie najpierw przestrzennych „miejsc”, które potem łączono z odpowiednimi partiami materiału, co ułatwiało zapamiętanie. Miejsca mogły być skojarzone z figurami medialnymi, jak obraz czy obiekty należące do uniwersum piśmienności. Miejsca i figury składały się na system mnemoniczny, nazywany pałacem pamięci.

W zakończeniu *Ogrodniczek* Iwaszkiewicza przybywa czarną kareta czarny rycerz, w czarnej masce, z kosą. Zabrał Zbyszka niespodziewanie. Dzisiaj, bezradni wobec tego nagłego braku, próbujemy przeciwstawić mu to, co mamy: wspólną przestrzeń, wspomnienie, anegdotę, dedykację, urywek dialogu, fragment wiersza. To nasze miejsca, figury i nasz kameralny pałac pamięci. Czuj się u siebie, Kolego.

Dariusz Śnieżko